

23 kwietnia

Ciepły wiatr obnaża wilgotną ziemię, zlizując z niej resztki brudnego śniegu. Mać *syraja ziemia* przypomina kobiece łono, oczekujące łaski i nasienia... Niekiedy mam ochotę przylgnąć do niej twarzą. I poniuuuuchać.

24 kwietnia

Zaginięcie Pietra nie daje mi spokoju. Już ponad miesiąc go nie ma i nikt nie wie, gdzie się podział? Być może Michajłycz, wzorem dawnych biegunów⁴, przeczuwając bliską śmierć, zbiegł ludziom z oczu, aby umrzeć samotnie? Tichon próbował zgłosić na policję fakt zaginięcia, ale nie przyjęli, bo zgłosić może tylko ktoś z rodziny, a siostra się nie kwapi.

Powoli z chaotycznych opowieści Saszy, a także rzucanych półgębkiem uwag Andrieja Zacharczenki, wyłania mi się obraz ostatniej zimy Pietra. W grudniu zapił na fest (jeśli można jakąś cezurę w jego papojkach wyznaczyć, bo przecież pił na okrągło, od kiedy go pomnę...) i chlał przez cały styczeń, luty, a w marcu zleciał z pieczki. Szczęściem Sasza do niego zajrzał, bo ni dymu z komina ani śladów na śniegu, i znalazł Pietra na podłodze pod pieczką. Zadzwoił po pogotowie, przyjechali, zabrali i zawieźli do szpitala w Miedgorze, tam się okazało, że ma krew w głowie, otworzyli więc czaszkę, odessali krew, po czym zszyli i odesłali do Pietrozawodska. Do Saszy przychodziła policja, pytali, co się stało, zrobili protokół. Węszyli też u Zacharczenki. Tymczasem Pietro ocknął się z bezpamięci, wrócił do Kondy i znowu zapił. A później zaczęły się iste jaja, bo sobie sprowadził dwie głupie z durdomu (kobięcy zakład psychiatryczny w Wielikoj Gubie) i pili we trójkę, aż znowu przyjechała policja, szukali tych bab po całej okolicy, jedna powiedziała mentom, że Pietro obiecał się z nią ożenić i siłą ją od niego z chałupy wyciągali... Potem jeszcze nieraz Sasza znajdował Pietra na poły zamarzniętego w zaspach przy drodze, taszczył na sankach do izby i palił w piecu, bo nie chciał mieć człeka na sumieniu, ale i tak nie upilnował. Koniec końców Pietro przepadł.

Daleko w tym stanie zajechać nie mógł, lewą ręką już nie władał, mowę mu odjęło, pewnikiem gdzieś w kostnicy leży, a że dokumentów nie miał, to nikt nie wie, czyj to trup. Ot, i doigrał się Piotr Michajłyecz.

Natasza ubolewa nad Pietrem, że taki był samotny, nikomu niepotrzebny i przez nikogo niekochany, nie dziw, że wódką się mroczył, sam siebie niejako zabijał na raty. A ja się zżymam, bo jeszcze jeden bohater mojego dziennika wymknął mi się, zanim zdążyłem go sportretować. Że to nieludzkie, ktoś się zachnie, że nie mam za grosz współczucia? Pozwolę sobie być odmiennego zdania. Nieźle poznałem Pietra przez ostatnie lata i twierdzę, że sam wybrał taką ścieżkę do sześnięcia ze świata. Pamiętam, jak pieczołowicie przygotowywał się do kolejnego zapoju. Najpierw kupował słoninę, kaszę, papierosy i czaj, a za resztę pieniędzy z wynajmu mieszkania po matce w Pietrozawodsku brał najtańszą wódkę, której wystarczało zwykle na dwa i pół do trzech tygodni picia non stop w samotni. Potem kilka dni odlegiwał się, czyli dochodził do siebie w potach i drżąc, a ostatek miesiąca spędzał na wyczekiwaniu kolejnego czynszu. Piętro doskonale wiedział, czym taki tryb życia się kończy, sam często powtarzał, że z jego zapijaczonych rówieśników (rocznik 1965) niewiele ostało się przy życiu, a mimo to pił na zabój. Dosłownie!

Kiedy przyjechał do Kondy w pozaprzeszłym roku i zaszył się w zrujnowanym domu Żenki Pieczugina, zastanawiałem się, ile tu zima wytrzyma, bo zima tutaj sprawdza człowieka, czy aby nie blefuje w życiu. Wystarczyła pierwsza, by postawić w jasno, że drugiej Piętro nie przetrzyma. Już wtedy pił „po czornomu”, dobami nie złącząc z pieczki, ale w rzadkich chwilach trzeźwości jeszcze się chełpił, że go byle zima nie złamie. A latem całkiem się opuścił. Potrafił wziąć pieniądze od muzyków na gorzałkę i godzinami nie wracać, po czym okazywało się, że gdy wszyscy złaknieni czekali, Piętro po drodze ze sklepu się napił i wala się w krzakach. Rychło więc stracił twarz we wsi, ale jemu już było „do lampoczki”. Mówiąc wprost, Piotr Michajłyecz odkleił się od rzeczywistości na dobre.

Raz, drugi próbowałem z nim wypić, bo bez wódki, mówił, mojego życia nie razbieriesz, łudziłem się, że może kieliszkiem uda się coś z niego wyciągnąć... Niestety, Michajłyecz tak szybko nie trzeźwiał, że zanim zdążyłem zakąsić po pierwszym, już spał. Potem wymawiałem się, że wódka to zbyt drogi środek nasenny, wolę rąbać drwa. Ostatni raz z nim nie piłem, tylko siedziałem obok, sam

bał się stopkę wychylić, uwiidził mnie przez okno — zabubonił po szybach — widać, że ledwie się wychynał, a kiedy przysiadłem, wybełkotał toast za „zdrowie Piotra Michajłyicza”, wychylił i znów się osunął.

Tichon mówi, że Pietra zgubiło próżniactwo, bo bez roboty można tu zwariować, natomiast Zacharczenko twierdzi, że sama Konda opróżniła się z niego, bo jeśli siedzisz w jakimś miejscu, nie przynosząc płodów, to miejsce cię wydała —jak kał.

⁴ Bieguny (albo strannicy) —jeden z odłamów starej wiary... Głosili, że jedynym sposobem zbawienia jest wieczna włóczęga. Przed śmiercią uchodzili w głuęhe ostępy, aby nikt nie odnalazł ich zwłok.

